

DO MOICH WSPÓLBRACI KAPŁANÓW

Niedawno w rozmowie telefonicznej z proboszczem pewnej parafii nie umiałem powstrzymać się od wtrącenia – lekko, mimochodem – zdania: „Moja dusza przygotowuje się do odlotu z tego świata, i to już w najbliższych miesiącach”. Po chwili ciszy słuchawka zapytała: „Czy Ksiądz źle się czuje?” „Ależ skąd, jestem w pełni sił i aktywności!” Słuchawka zamilkła ze zdumienia, ale przy najbliższej okazji przemówiła... z ambony, na wszystkich Mszach, ogłaszając mnie (imiennie) fałszywym prorokiem (i nie tylko).

Po takim doświadczeniu powinienem chyba schować, jak struś, głowę w piasek, żeby z dzioba więcej pary nie wypuścić, ale... nie potrafię! Bez względu na to, jaką reakcję wywoła niniejszy mój list, czuję się w obowiązku go napisać, i to właśnie dzisiaj, w czwartek 10 maja 2012 roku, a więc w dniu kapłańskim. Takie otrzymałem natchnienie i nie mogę mu się przeciwstawić ani sprzeniewierzyć. Najbliższa przyszłość pokaże, na ile ten list był potrzebny...

Przybliżony (powieściowy) opis mojej śmierci stanowi ostatni rozdział książki „Wejźdź do radości”, zaś w aneksie do tej książki znajduje się rozdział, który może zainteresować kogoś z Księży: „List ks. Jerzego do ks. Stanisława” (o ucieczce z miast, s. 238). Kto zna te rozdziały, łatwiej mu będzie zrozumieć to co piszę w tej chwili. Nie zdziwi się też, jeśli wspomnę teraz o zdarzeniu, które pominąłem w swojej powieści.

Pisząc ją pod pseudonimem, próbowałem uchodzić za człowieka świeckiego – „pana Ivana Novotnego” – nieuchwytnego w Polsce, co mi się po części powiodło. Wyjaśniwszy i porzuciwszy już swój pseudonim (zob. moje teksty internetowe), w tej chwili mogę ubrać się w sutannę i... uciekać do pobliskiego lasu! W nim – oczywiście „w nocnych widzeniach” – ukrywałem się całymi dniami, a pod osłoną nocy mogłem przychodzić do domu, gdyż trwało straszliwe prześladowanie Kościoła – to właśnie, które pociągnie za sobą moją śmierć. Obecnie przygotowuję się do niej, żyjąc z Panem Jezusem w „ciemnicy” – w swojej kaplicy – i licząc dni, które dzielą mnie od mojej Golgoty.

To nie powieść, nie fantazjowanie, moi Bracia, lecz... rzeczywistość, która zbliża się milowymi krokami do Kościoła na całym świecie. Dopiero teraz, pod koniec życia, rozumiem, po co pokazał mi Bóg te wydarzenia (coś więcej: pozwolił je głęboko przeżywać!) już tak dawno temu: bym mógł przekazać je innym. Zwłaszcza te, w których mogłem tylko w „wizjach” na ziemi uczestniczyć, gdyż ostatnie z nich będę oglądać już „z Drugiego Brzegu”. Choć wielu rozmówców próbowałem przekonywać, że „ja tego doczekam, bo widziałem, a dotychczas wszystkie wizje potwierdziły się w szczegółach” – teraz muszę się z tego wycofać: Bóg przyjął moją ofiarę i pragnie, by wkrótce moje *Fiat* zakończyło mą ziemską wędrówkę. Muszę przyznać, że jest to dla mnie samego wielkim zaskoczeniem.

Wracam do prześladowania Kościoła. Pozornie nic w tej chwili na nie nie wskazuje, a ludzkie plany i kalkulacje „na następne pokolenia” zalewają nas ze wszystkich stron i usypiają naszą czujność. Jest jednak to prześladowanie bardzo blisko, zaledwie o kilka chwil od nas, i to tak straszliwe, że w ogóle trudno o nim pisać. Na szczęście niezbyt długie (widziałem, że wiosna je zakończy), lecz ze względu na swoją intensywność i skalę będzie bardzo trudne do przeżycia. Główne jego ostrze będzie skierowane przeciwko księżom i osobom konsekrowanym, choć męczeństwo stanie się udziałem także wielu świeckich, zgodnie z piekielną zasadą: im kto bliżej Boga, tym większy wróg!

Jak do niego dojdzie, pisałem w internetowych listach, ale jeszcze powtórzę (n.b. pisałem jako świadek, gdyż ok. 30 lat temu Bóg pozwolił mi to przeżyć). Jakby „zapalnikiem”, wyzwającym prześladowanie, będzie niestety ogólnoswiatowy ogromny cud Bożego Miłosierdzia: ukazanie się Chrystusa „na obłokach, z wielką mocą i majestatem”, w otoczeniu aniołów, a za chwilę Jego sąd szczegółowy nad każdym mieszkańcem ziemi, nazywany w objawieniach „Ostrzeżeniem”. Dlaczego „niestety”? Gdyż nawet tak wstrząsające objawienie się Boga i ukazanie każdemu jego przeszłości, ale także miejsca, na które sobie swoim życiem zasłużył gdyby umarł, niektórych *nie nawróci!* Wprost przeciwnie: zaprzędani szatanowi, ulegną oni zbiorowemu opętaniu do n-tej potęgi i z diabelską furią rzucą się na nawróconych i nawracających się, pokornych i rozmodlonych, stojących w kilometrowych kolejkach do spowiedzi z całego życia. Boży ludzie nie będą w stanie się bronić, nawet gdyby mieli armaty i czołgi, gdyż poznane Boże tajemnice zwrócą ich bardzo mocno ku światu wewnętrznemu, a odizolują od wielu ziemskich trosk.

To właśnie będzie ten najtrudniejszy rok, w którym – jak stwierdził w Fuldzie Jan Paweł II – „Kościół oczyści się we krwi męczenników”. Czy wtedy od nas, duszpasterzy, nie będzie Chrystus wymagał heroizmu? Czy w obecnym, względnie spokojnym i dostatnim życiu, jesteśmy zdolni na Jego oczekiwania odpowiedzieć? I to już w tej chwili, a nie za ileś lat?

Jeżeli mój list któryś z Braci zechce potraktować poważnie, zachęcam go do następujących przemyśleń:

1. Warto zaopatrzyć się w różne rzeczy, oferowane przez sklepy z naszej branży, z winem mszalnym na pierwszym miejscu. Hostii za dużo na zapas nie nakupimy (chyba że je zamrozimy, chociaż nie zawsze będzie prąd w sieci), ale mając białą mąkę, jakoś sami sobie poradzimy, gdy zawiodą piekarnie. Sataniści zaatakują klasztory, z piekącymi hostie włącznie. W związku z tym mój postulat (choćby miał się rozleć chichot prześmiewców!): spróbujmy zmobilizować znajomych posiadających broń, np. myśliwych, do wzięcia pod opiekę klasztorów. Przecież będą one jak wielkie nieruchome tarcze, wystawione na ataki satanistów.

2. Podobnymi „tarczami” będą sanktuaria, „sól w oku” dla piekła i jego ludzi, więc i o nich warto pomyśleć. W normalnym kościele łatwo ukryć Pana Jezusa, szaty i naczynia liturgiczne, i ratować się ucieczką, jednak nie w sanktuariach.

3. Ksiądz Brzóska ukrywał się przez długi czas u rolnika między dwiema ściankami, a wychodził tylko w nocy. Ci z nas, których Bóg powołuje nie do męczeństwa, lecz do potajemnego duszpasterstwa, mogliby pomyśleć o kilku miejscach schronienia, jak też zaopatrzyć je we wszystko, co jest konieczne do celebracji Mszy świętej.

4. Nasi wierni nie są, na ogół, przygotowani na te chwile, może z wyjątkiem dusz-ofiar (czy żertw ofiarnych, jak ich określa ks. Natanek), a więc tych, którzy złożyli Bogu samych siebie w ofierze za nawrócenie grzeszników. Do tych ludzi kierowałem od lat swoje książki, a ostatnio internetowe apele, i cieszę się, że rozrastają się ich szeregi. Dobrze by było, gdyby *pasterze szli na czele owiec*, a nie za nimi – i temu poświęcę chwilę uwagi.

A. W ostatnich spokojnych chwilach warto mobilizować wszystkich, gdzie i kiedy to tylko możliwe, do jak najpotężniejszej *modlitwy o nawrócenie* jak największej liczby grzeszników. Niebo czeka na te modlitwy, ale w pewnym momencie powie: DOŚĆ! Gdyby więc ktoś chciał nawet czuwać w nocy, warto otworzyć mu kościół lub kaplicę. Co jeszcze w tej materii „warto”, wiedzą Księża sami, a jeśli nie wiedzą, niech wsłuchają się w głos swoich podopiecznych oraz w natchnienia, im samym przychodzące. „Pozbierajmy wszystkie okruszyny” modlitw!

B. Oprócz „żaru modlitwy” może Duch Święty wzbudzić w niektórych sercach „żar męczeństwa”, na który powinniśmy zareagować we właściwy sposób, a więc w duchu Listu 1 P 4,12: radować się nim, a nie dziwić, a tym bardziej nie strofować doświadczających go! Niech nasza „słuchawka” będzie dostrojona do takich dźwięków – i w telefonie, i na spotkaniach, i w konfesjonale – żebyśmy nie reagowali na nie na sposób mojego współbrata! Oby nikt z nas nie krzyżował Bożych planów, odsyłając bliźniego do psychiatry z tego powodu, że nagle Duch Boży uniósł go tak wysoko ponad naturę, że Boży zew okazuje się o wiele silniejszy niż naturalne instynkty! Piszę to jako świadek, i wiem co piszę. Gdyby taka chwila trwała dłużej, moje życie na ziemi stałoby się niemożliwe. Dotyczy to zarówno pragnienia natychmiastowej śmierci dla Boga i dla bliźnich, jak i tęsknoty za Niebem, albo takich porywów radości na myśl o bliskiej śmierci, że natura człowieka siania się pod nimi jak kłosa w czasie burzy. I co by było, gdyby taki Boży wybraniec – a może być ich wielu! – usłyszał od nas słowa przykre lub lekceważące?

Może nas ktoś z płaczem pytać: ten „żar” mnie porywa, ale co mam zrobić z naturalnym lękiem o moich bliskich? Oto jedna z odpowiedzi: Bóg ich kocha milion razy bardziej od ciebie, a poza tym jest wszechmocny, więc potrafi zatroszczyć się o ich szczęście, nie martw się! A poza tym oczyszczony świat będzie wkrótce tak piękny, że nie miej o nic obawy – wszyscy będą jak jedna kochająca się rodzina.

Ktoś inny złożył Bogu siebie w ofierze „całopalnej”, ale szatan wzbudza w nim lęk przed śmiercią i zatrzuwa mu życie. Pyta, czy może się wycofać... Oczywiście że może, i to w każdej chwili – uspokójmy go – bez żadnego grzechu, gdyż Bóg nie może od nas wymagać tego co nas przerasta, a poza tym przyjmuje tylko to, co ze szczerego serca Mu ofiarujemy. Jednak zróbmy krok naprzód i użyjmy np. takich argumentów: – męczennicy otrzymują specjalną łaskę, coś jak modlitewną ekstazę, która łagodzi ich ból i strach, a nawet je likwiduje (zob. np. żywot św. Perpetui i Felicyty, poranionych przez dziką krowę na arenie cyrkowej); – Bóg ma 1000 sposobów na to, by zatroszczyć się o ciebie, swoje dziecko, i w takiej chwili krzywdy nie pozwoli ci zrobić – stąd często męczennicy szli na śmierć jak na wesele; – ogromną łaską jest obecność przy nas w godzinie śmierci Matki Najświętszej; jeżeli Ją prosisz o modlitwę

i przyjście w tej godzinie, i to przez całe życie z Różańcem w ręku, jak możesz wątpić w Jej pomoc? (piszę to jako świadek – widziałem rolę Maryi wobec mojej duszy tak w momencie śmierci, jak i w „locie” prosto przed Tron Boży);

– boisz się krótkiego cierpienia przy śmierci, które może cię w jednej chwili uwolnić od wszelkich kar pokutnych, a nie boisz się o wiele sroższego i dłuższego – może wieloletniego – w czyścicu? Tamto czyścicowe jest *prawdziwym* męczeństwem w porównaniu z maleńkim bólem, jaki przychodzi znieść na ziemi! Święta Krystyna, zwana „Cudowną”, poznawszy mękę czyścica i zapragnawszy uwalniać od niej dusze, np. rzucała się w ogień, stała tygodniami w lodowej przerebli, doświadczała łamania kości – a wszystko to wydawało jej się niczym w porównaniu z tamtymi mękami!

– „Choćby twoje grzechy były jak szkarłat, jak śnieg wybieleją”, i to natychmiast, w jednej chwili męczeństwa. Jest tak m.in. dlatego, że Bóg-Człowiek ma szczególną litość dla tych, których ludzie skrzywdzili – chce im to wynagrodzić i jakby „głaszcze rany” ich ciała, łagodzi ból, a przy tym nie zwraca uwagi na rany ich duszy, które mogą być ohydne! Tak na pewno postąpił nawet z najbiedniejszymi duszami w prezydenckim samolocie podczas zamachu...

C. Idźmy z wielką miłością do chorych, pogrążonych w różnorodnych cierpieniach, i czynmy z nich dusze-ofiary, zachęcając do ofiarowania cierpień za konających lub za mających wkrótce umrzeć, a żyjących w grzechu ciężkim. Jakiego doznawałem nieraz wstrząsu, gdy od obłożnie chorych słyszałem, że nigdy im żaden ksiądz o tym nie mówił, nawet gdy latami co miesiąc ich odwiedzali!

Świadczy to tylko o tym, że księża sami nie żyją tym duchem: łatwo im składać w Ofierze Jezusa Ojcu w Duchu Świętym, ale z tą Ofiarą nie łączą własnej – ze swojego życia, ciała i krwi; spożywają swego Pana, ale Jemu nie pozwalają sobie „spożyć”; dają ludowi Tego, który „dobrowolnie wydał się na mękę”, ale sami dla Niego nie chcą niczego wycierpieć; gdy „przypadkiem” dopadnie ich cierpienie, uciekają od niego jak od największego nieszczęścia, więc jak od nich ma Jezus oczekiwać, że choćby najmniejsze podejmą i ofiarują Mu dobrowolnie?

Głosząc pewnego razu rekolekcje dla księży w tym właśnie duchu, uświadamiając im konieczność połączenia w ramach ich powołania obu rodzajów kapłaństwa: tego ze święceń i powszechnego – napotkałem na opór z ich strony, a nawet bunt (kilku wyjechało). „Wystarczy, że nasz sakrament ma swoją skuteczność *ex opere operato* – powiedzieli – a *opus operantis* się nie liczy, ty go przeakcentowujesz!” Bardzo się mylili, gdyż właśnie z tego drugiego będziemy przez Boga osądzeni, a nauka Jezusa w tym względzie nie pozostawia najmniejszych wątpliwości. Najmniejsza ofiarka, złożona Bogu sercem, z miłości, ma w Jego oczach o wiele większą wartość, niż dziesięć złożonych pod przymusem, bo uniknąć ich się nie da. A poza tym – co to za miłość bez ofiar...? Dostatecznie dużo napisałem na ten temat w I tomie swojej książki *W Szkole Krzyża* i do niej odsyłam.

Mój list jest jak zielony owoc, któremu zabrakło czasu na dojrzewanie – powstał dzisiaj w ciągu krótkiego czasu, i niech takim pozostanie. Zakończę go parafrazą słów Pana Jezusa, często przez nas powtarzanych, zwłaszcza w święta i wspomnienia męczenników: „Nikt nie ma większej miłości niż ten, kto życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” oraz za nieprzyjaciół, którzy – dzięki jego ofierze – staną się na wieki jego przyjaciółmi. Mam na myśli tych, którzy wkrótce staną się moimi zabójcami, a których twarze widziałem na swoim pogrzebie. Włączyli się w moją ofiarę, do której mają się przyczynić, a także w moją modlitwę, którą od lat za nich zanoszę. Wierzę, że spotkamy się w Wiecznej Chwale, jak Szczepan z Szawłem, gdyż... wierzę jednocześnie, że nikt nie ma większej możliwości wyproszenia komuś u Boga łask, niż ofiara swoim prześladowcom.

Duchu Święty – Duchu tej liturgicznej Pięćdziesiątnicy, którą teraz w Kościele przeżywamy, ale i tej Nowej – Pięćdziesiątnicy, która przetworzy, uduchowi i uświęci wkrótce cały świat, czyniąc go wielkim wieczernikiem – błagam Cię, przez pośrednictwo Twej Najświętszej Oblubienicy Maryi: ogarnij umysły i serca moich Współbraci Kapłanów i posłuż się nimi według Twoich planów. Amen.

ks. Adam Skwarczyński